

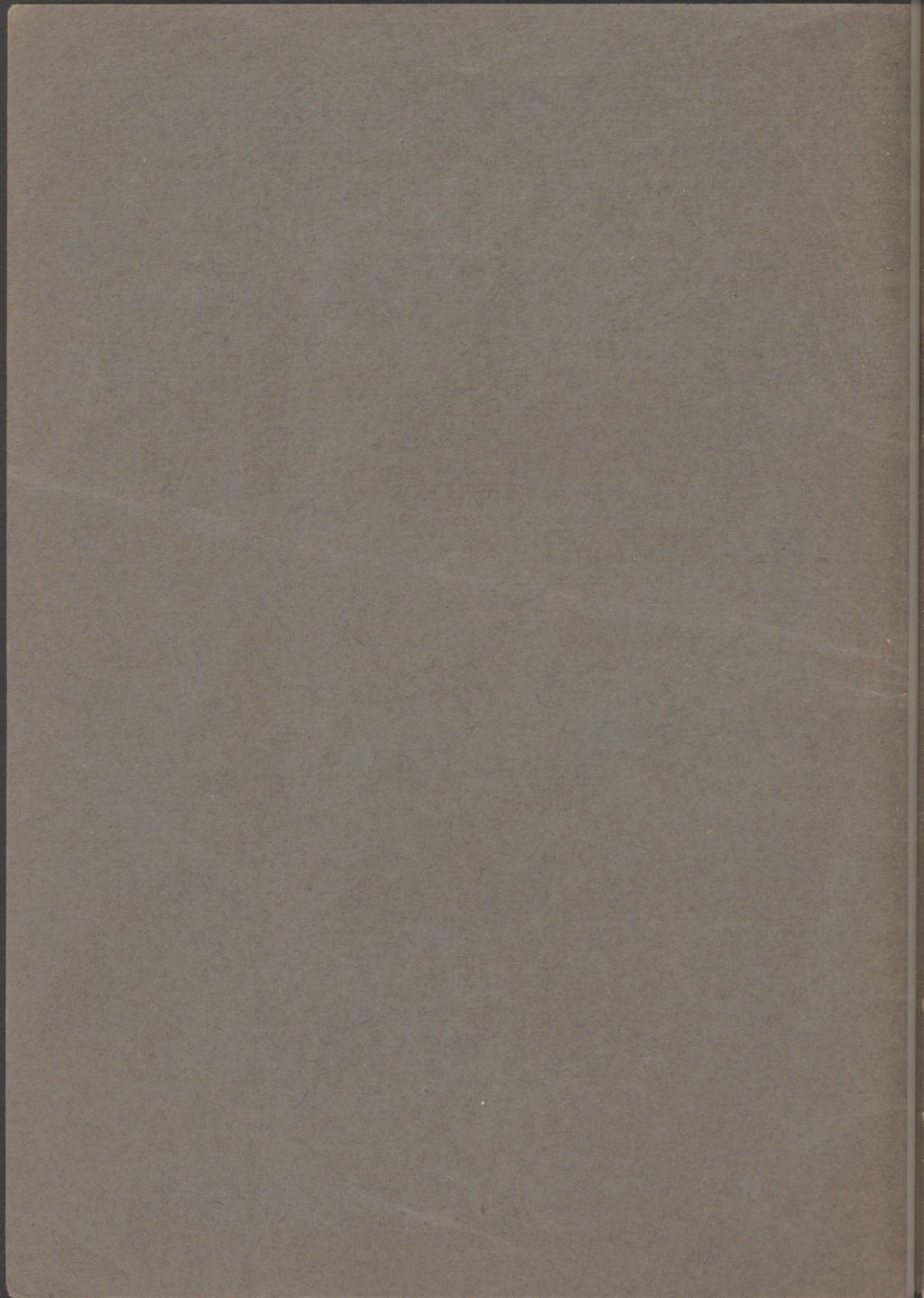
J A N
BUŁHAK

WĘDRÓWKI
FOTOGRAFA

2/31-

ZESZYT VII
RUSZCZYCÓWSKIE
DOŻYNKI

WILNO
1 9 3 5



1379/vii

WĘDRÓWKI FOTOGRAFA
W SŁOWIE I W OBRAZIE

Wielmożności Państwa
Kierownictwa Studiów

J.M.
Młno. 22 maja 1931 r.

TEGO Ź A U T O R A

1. „Moja Ziemia”, wydanie L. Chomińskiego. Wilno 1919 (wyczerpane).
2. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt I. Krajobraz wileński. Wydanie L. Chomińskiego, Wilno, 1931.
3. Fotografika. Zarys fotografji artystycznej. Wydanie Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Warszawa 1931.
4. Technika bromowa. Wilno 1933. (na wyczerpaniu). Skład główny w księgarni Św. Wojciecha. Wilno—Poznań—Warszawa—Lublin.
5. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt II. Krajobraz widziany przez soczewkę. Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
6. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt III. Przez Ponary do Trok. Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
7. Bromografika czyli metoda wtórnika. Wilno 1934. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
8. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt IV—V. Jezioro Narocz. Wilno 1935. Wydanie Stanisława Turckiego.
9. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt VI. Człowiek twórcą krajobrazu. Wilno 1936. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
10. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt VII. Ruszczyce dożynki. Wilno 1935. Nakładem polsk. druk. art. „Grafika”. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
11. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt VIII—IX. Pejzaż Wilna. Wilno 1936. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.

Pod redakcją i przy współpracy autora:

12. Almanach Fotografiki Wileńskiej. Wydanie Fotoklubu Wileńskiego. Wilno 1931 (na wyczerpaniu).
13. Almanach Fotografiki Polskiej 1934. Wilno 1934. Wydawca i skład główny Stanisław Turcki. Wilno, ul. Bonifaterska 2 m. 4.

W przygotowaniu:

14. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt X. Kalwarja Wileńska.
15. Wędrowki Fotografafa. Zeszyt XI—XII. Nowogródzkie. („Kraj lat dziecińczy”).

W. J. 3458



1946



Ferdynand Ruszczyk w Bohdanowie



BOHDANÓW

Aleja wjazdowa główna

I.

O samej północy zbliża się mój pociąg lesistą okolicą do stacji Wojgiany, skąd mam już tylko dwa kilometry końmi do Bohdanowa. Głuche i bezludne wydają się po nocy te wielkie przestrzenie Oszmiańszczyzny, gdzie rzadkie wyspy osiedli nikną w morzu zalesienia. Gwizd lokomotywy budzi donośne echa i wzmaga poczucie osamotnienia. Wyglądam z niecierpliwością stacji, gdyż oddawna już nie byłem w Bohdanowie, gdzie Ferdynand Ruszczyc spędza lato, nabierając zdrowia i sił po przebytej chorobie. Ale pociąg w Wojgianach staje tylko na minutę, więc z pewną tremą podciągam ku wyjściu moje tobołki fotograficzne, by je zdążyć wyładować. Obawa zresztą próżna: u drzwi wagonu spotykają mnie dwaj młodzieńcy bohdanowscy i w mig transportują wraz z bagażem do sze-

rokiej bryki. O wszystkim pamiętał troskliwy gospodarz. Niebawem jedziemy znajomą drogą, rozświeconą późnym sierpem ostatniej kwadry: znów oglądam mocne zarysy pejzażu bohdanowskiego, jeszcze patetyczniejsze w nocnym wyolbrzymieniu, a rozwiewne festony brzozowych przysad, któremi wjeżdżamy do dworu, przywodzą mi na myśl Ruszczycowską »Balladę«.

Po powitaniach i krótkiej rozmowie przy kolacji z panią Giną i młodzieżą, rozchodzimy się na spoczynek. Ferdynanda zobaczę dopiero jutro. Lokują mnie oczywiście w słynnym »domku ogrodowym«, który tak mile pamiętam z poprzednich bytności. Domek stoi w gęstym cieniu ogromnych lip, między któremi przeświecają gwiazdy. Białe jego ściany mającą powitalnie, a w okna zagląдают gałęzie jabłoni. Za czernią świerków zachodzi ostry księżyc z wygiętymi rogami, jakgdyby żywcem zdjęty z omańskiego minaretu. Parna cisza spływa z lipowych podcieni i zalega ogrodowe ścieżki. Cały świat mrocznych, aksamitnych widziadeł lęgnie się pod granatowem sklepieniem wyskrzonego nieba, pod namiotami rozłożystych konarów i przyjaźnie zastępuje drogę błądzącym krokom nocnego wędrowca. Przydrożne

jabłonie porozumiewawczo dotykają mej głowy.
Znowu jestem w Bohdanowie...

* * *

Nazajutrz dzień jest złocisty i kolorowy, uśmiechnięty dostałym blaskiem żniwnej pory, napiętrzony kłębami śnieżnobiałych obłoków. Domek ogrodowy wykwita jarzącą bielą ze szmaragdowej oprawy sadu. A sad utracił wczorajszą nocną tajemniczość i rozkłada się falisto, pręgowany modremi cieniami, przepysznie zieleniejący w porannem słońcu, nęcący znajomymi zakątkami. Chciałoby się biec we wszystkie strony na spotkanie jakichś miłych niespodzianek, chciałoby się nie pominąć żadnego miejsca w tym uroczym ogrodzie. Któż nie zna rzeźwego rozradowania wczesnej godziny letniej, gdy się wstaje tak szybko i chętnie, gdy ręce dokoła przyodziewku nie mogą nadążyć niecierpliwemu pośpiechowi, gdy nawołuje doń każdy poszum jabłoni za oknem, każdy odzew ptaka w jagodowych zaroślach, każdy skośny promień, igrający na ścianie rozkosznie natrętnem migotaniem? Kiedy całe to królestwo słonecznej uciechy wzywa do powitalnych odwiedzin i zapatrzeń, do dziecinnych porywów

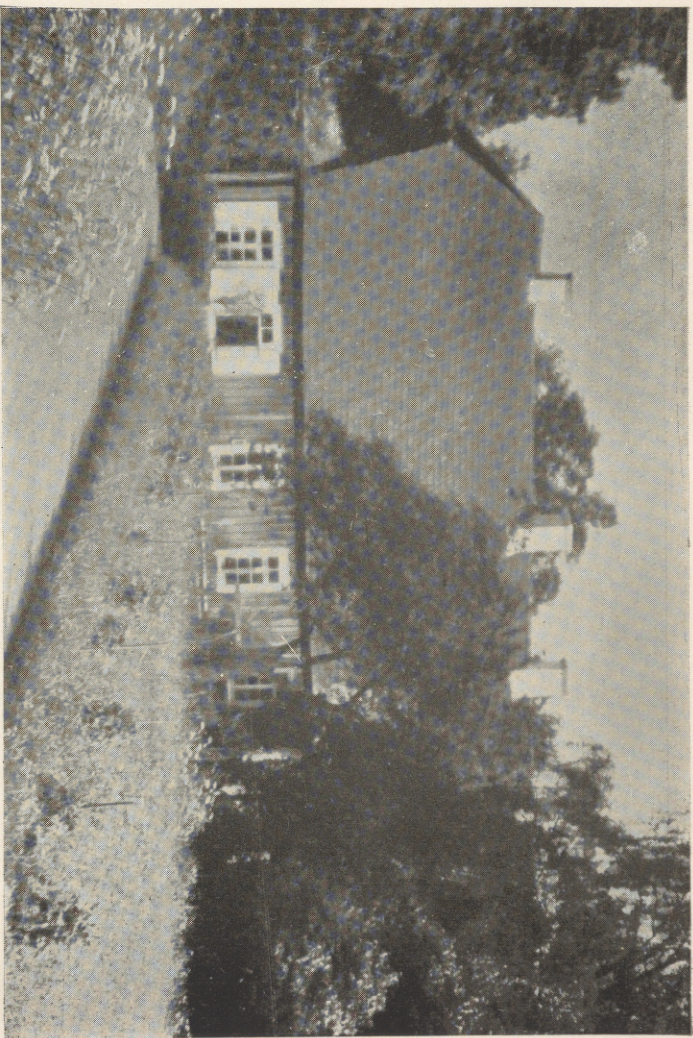
milczącego zachwycenia, a jaśnienie poranka prześwietla myśli niefrasobliwą pogodą, idącą z samego wnętrza ziemi, z najgłębszych korzeni jej krzepkiego zarośnięcia, z najcichszych powiewów wiatru i z najśodszych spojrzeń łaskawego błękitu?

Idę ku domowi. Trawniki w długich cieniach nabrzmiewają malachitową wzorzystością, a w słońcu pyszną się oślepiającą zielenią. Nigdzie niema chyba tak soczyście kolorowej murawy, jak w Bohdanowie; oko ślizga się po niej z rozkoszą, jak po najpiękniejszym dywanie. Zdaleka, z ławki na dziedzińcu wita mię Ruszczyc gestami ręki i podnosi się na moje spotkanie. Zbliżam się, oglądam go z ucieszonym zdumieniem, ledwie go poznaję po długim niewidzeniu. Wszak to prawie zdrowy człowiek! Kilkomiesięczny pobyt na wsi zaokrąglił wychudzone rysy i wyprostował postawę, oczy patrzą rzeźko i wesoło, uśmiech i głos odzyskały pełnię dawnego wyrazu, a postać zwykłą ruchliwość, telegraficzne skróty powracającej mowy uzupełniają ekspresję roześmianej twarzy. Serdeczna chwila powitalna ukazuje mi radośnie dawnego Ruszczyca, tylko lwia grzywa jego czupryny z płowej stała się całkiem srebrna



BOHDANÓW

Przed gankiem



BOHDANÓW

Stary dom, zbudowany w r. 1690

i przywodzi na myśl ośnieżony szczyt górski,
w którym drzemią ukryte moce.

* * *

Dwór i krajobraz bohdanowski są całkiem jednolite w swym szczególnie stężonym wyrazie. Niema w nich nic błyskotliwego, nic obliczonego na zewnętrzną, drobiazgową ozdobność. Jest prostota wielkich linii i mas, zadumana, surowa powaga i żywiołowa bujność wiekowego istnienia — te same cechy, jakie znajdujemy w pejzażach Ruszczyca, które tu przecież mają przeważnie swoje pierwowzory.

Stary dom jest niski i drewniany, rozłożyste wrośnięty w ziemię, jak sędziwe, mocno zakorzenione drzewo. Dom pamięta parę stuleci¹, a każda jego belka jest przesiąknięta, jak życią, oddechem wielu pokoleń, nawarstwieniem wielu żywotów rządnych i zapobiegliwych. Wyczuwa się tę długowieczność w stromym dachu, szeroko nasuniętym na ściany, w małych oknach i przestronnych pokojach, w pojemnej jadalni z belkowanym sufitem, wspartym na słupach; słupy zdają się dźwigać z wysiłkiem

Stary
dom

¹ Zbudowany podobnie, jak kościół bohdanowski, w roku 1690.

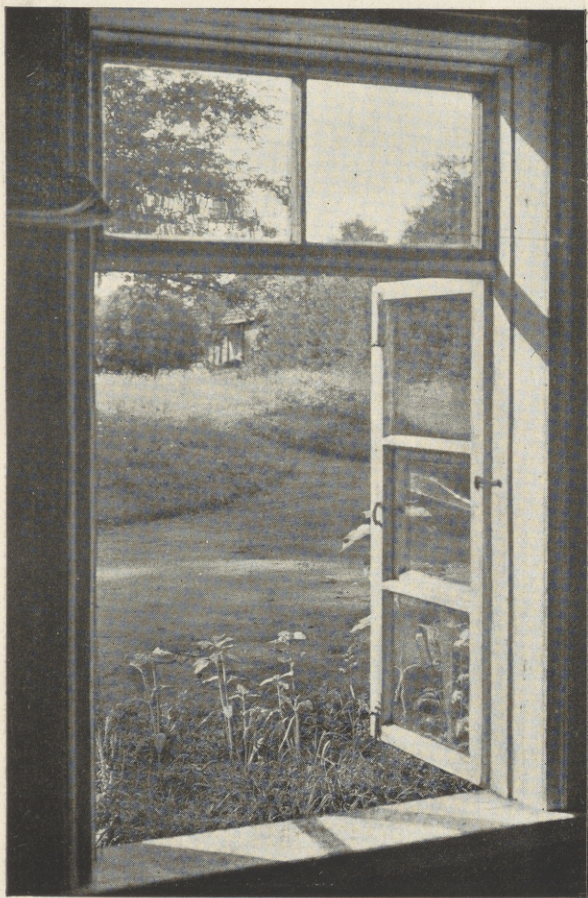
kanciastą powalę nad długim stołem, gdzie zasiada codziennie dwadzieścia osób rodziny i domowników, zdają się chronić od załamania gościnne rozprzeźwienie domostwa, wyrastającego, jak grzyb, prosto z ziemi. Okna w jadalni są tak niskie, że służą za drzwi, i to nietylko dzieciom, ale czasem i starszej młodzieży, która tolerowanym zwyczajem skraca sobie tędy drogę na dziedziniec. A za oknami kolorowe twarze malw tulą się do drewnianych ścian i mieniają się na ich burem tle barwą tem żywszą.

Dom bohdanowski przetrwał zwycięsko wojenne zniszczenie i, chociaż ogołocony z wielu cennych nabytków, nie przestał być ogniskiem tradycji rodzinnej i skarbcem jej pamiątek. Głębokie przywiązanie do tradycji jest jego dominującym rysem. Całe wnętrze domu, jego rozkład i ustawienie, zawartość każdego pokoju, sprzęty, książki, wizerunki i obrazy — wszystko ma tę samą patynę szacownej długowieczności. Rodzina i ziemia są tu sprawą najważniejszą, a obyczaj domowy — pieczołowicie przechowywanym klejnotem. A jaki dom — tacy są i ludzie. W Bohdanowie obyczaj delikatnej uwagi, troskliwego pamiętania o formach obcowania nie ogranicza się do osób najbliż-

szych, lecz obejmuje wszystkich: domowników i sąsiadów, służbę i czeladź dworską. Żadna uroczystość rodzinna służby nie odbywa się bez życzliwego udziału państwa, a na pogrzeb staro ciwuna Ruszczyowie przyjeżdżają umyślnie z Wilna, by mu oddać godnie ostatnią posługę. W stosunkach dzieci do rodziców łączy się wzruszająco nieprzymuszona swoboda z karnem, pełnem szacunku posłuszeństwem, a te znów nie umniejszają serdecznego przywiązania i przyjaznej ufności. W tej patryjarchalnej rodzinie wszystkie radości i troski są wspólne, każde imieniny lub rocznica stanowią powszechne święto, uświetnione przez upominki, niespodzianki lub obchody, zawczasu przygotowywane starannie i w wielkiej tajemnicy. Bohdanów jest naprawdę skarbnicą i wzorem cnót domowych, dostojnem zwierciadłem starodawnej polskiej zacności.

Czynię te wszystkie refleksje, witając się kolejno z licznem towarzystwem starszych i młodzieży, przypominając się osobom mniej znanym, podziwiając, jak powyrastało młode pokolenie. Z przyjemnością patrzę na tę sporą gromadkę chłopców i dziewcząt, pełną wesołej i zdrowej tężyzny, a jednak tak dobrze wychowanej i mi-

lej w obejściu. Niema w nich współczesnego rozdzwiku ze starszem otoczeniem, ani szorstkiej przeciwstawności — czuje się pewność, że młodzi potrafią utrzymać spuściznę moralną poprzedniego pokolenia, uszanować ją i przyporzączyć jej wartości. Jest coś głęboko krzepiącego w widoku tych dwóch światów, zachodzącego i wschodzącego na tym samym obszarze dziedzicznego gniazda, w cieniu starego domostwa, wśród piękna fizycznego i duchowego rodzimej ziemi. I patrzę z podziwem i uwielbieniem na tego zacnego, kochanego Ferdynanda, jak idzie przez dziedziniec, oparty na ramieniu troskliwej, macierzyńsko czujnej pani Giny, i uśmiecha się serdecznymi oczami do ludzi i świata; patrzę na tę wielką, żarliwą duszę, na tego mocarza i twórcę najwyższego piękna, łączącego to dostojeństwo z przedziwną prostotą i ujmującą dobrocią. Gdziekolwiek obróce oczy — widzę którąś z jego natchnionych wizyj, widzę któryś z jego niezapomnianych obrazów: czy to »Stary dom« ze skłębionym obłokiem, co się rozskrzydla nad opłotami ganku, czy to »Gniazdo«, burzliwe kotłowisko sinych chmur i drzewnych szczytów ponad domem; czy to »Pokój babuni« i inne wnętrza domowe, odtwo-



BOHDANÓW Okno w jadalni (w głębi śpichrz)



BOHDANÓW

Fragment pracowni Ruszczyca

rzone z taką miłującą mocą, że każde żyje
własnym utajonem życiem, czy to »Sad« i »Ja-
blonie«, splecione w wieloramienne skręty, na-
brzmiały rodzajnymi sokami ziemi. A potem
znów powracam do ich realnych wzorów, oglą-
danych w słońcu dzisiejszego poranka i myślę,
jak ten wielki artysta ożywił je i unieśmiertel-
nił swemi rękami i swem sercem, jak umiał
w barwach i kształtach ukazać duszę wszelkie-
go jestestwa. Pojmuję, że jego obrazy nie były
plodem estetycznych wczasów, lecz etapami
głębokich przeżyć, że nie zabawą były, lecz
służbą, nie wypadkiem, lecz koniecznością, że
artysta nie szukał motywów, tylko żył z nimi
i dla nich, że te motywy były treścią całego
życia i rodziły się na jego płótnach w rozmił-
owanej ekstazie.

I wiem, że dokądkolwiek pójde, będzie wciąż
to samo urzeczenie: w brzozowej alei wjazdo-
wej ujrzę fantastyczną »Balladę« i chłostanych
deszczem i dołą »Wychodźców«; obok na polu
zobaczę »W świat« — nieutuloną żalność roz-
stania z żywicielką-glebą, rozwaloną w prze-
pastne skiby pod siwem, chmurnem niebem;
nad rzeczką Holszańką odnajdę »Stary młyn«,
szumiący o tajemnicy ziarna i chleba, na skra-

Wychodźcy
W świat
Stary młyn

Dożynki
Ziemie
ju dworu mistyczne »Dożynki«, rojowiskiem
światlików rozsypane po pochyłości wzgórza
pod brzozową kaskadą, a za dworem — w tem
wiadomem, sakralnem miejscu, rysującym się
na widnokrzęgu spadzistym konturem — zoba-
czę »Ziemie«, niebosiężny hymn prostoty i wiel-
kości, święte przymierze artysty-ziemianina
z rodzimą glebą pod dramatycznym ogromem
obłoków i nieba. I tak rzeczywistość, codzien-
nie słoneczna, zespala się z oszałamiającemi zja-
wami malarskich wcieleń ruszcycowskiego Boh-
danowa i uderza do głowy nadmiarem błyska-
wicznych wrażeń i wstrząsów, w których cześć
i uwielbienie dla cudownego artysty miesza się
z niesamowitem oczarowaniem tym jego po-
dwójnym światem.

II.

Ogród bohdanowski jest taki sam, jak dom: cechuje go powaga i odwieczność, moc i prostota wspaniałego rozrośnięcia². Rozszerzył się falisto i cienisto, osłonił pięknymi wysokopieniami starodrzewami, zamknął w swem okolu puszystą zielenią łączki, drzemiące pleśnie stawu, kręty strumień, zagubiony w parowie wśród czarnej olszyny, i wspina się coraz wyżej wzdętą wyniosłością, by nakoniec wybuchnąć w niebo górnym okrzykiem — węzownicą ogromnych klonów i jesionów, kopulasto sklepionych, wijących się spadzistą spiralą i tworzących na skraju pola pochyły bastjon żywej architektury. Zamknięta nim bryła dworu wygląda, jak gdyby wyciosana i wyrzeźbiona w roślinnym tworzywie dłutem wielkoluda-snycerza, który posiadał tajemniczą ekspresję żyjących kształ-

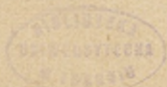
² Zachowały się drzewa, notorycznie posadzone w r. 1550.

tów drzewnych i zaklął w nie duszę tego dworu. A przecież był czas, gdy każdy ziemianin litewski był takim budowniczym i darem miłującej intuicji umiał ciosać w ciele przyrody wizerunki swego szlacheckiego pomyslenia. Tylko ślepotcie i prostackiemu omamieniu terazniejszości zawdzięczać trzeba, że o tem mało kto wie i mówi, że nikt nie usiłuje zachować chociaż trwałego wspomnienia o tej zanikającej dworsko-szlacheckiej zielonej architekturze, nie mającej sobie równej na całym świecie.

Wracamy do ogrodu, do jego rosochatych splotów grusz i jabłoni, do zarośniętych dróg i ścieżek, do roztrzęsionych mostków, płotów i przejazdów, do spadzistej pochylni trawników, do nieprzejrzonej gęstwiny dzikich kwiatów i jagód, krzewów, haszczów i chwastów. Wszystko w nim jest naturalne i samorosnące, niegdyś założone planowo, a następnie pozostawione siłom dziczej, bujnej vegetacji. W takim zresztą dworze ogród nie kończy się na właściwym sadzie i parku i przesącza się zielonemi rozlewami do sąsiedniego obejścia gospodarskiego. Całe okole dworskie jest zadrzewione, zagęszczone, trawiaste i kwieciste i tworzy swą treścią nowy rozdział staroświeckiej estetyki ziemian-

skiej. Każdy budynek jest pretekstem do oparcia się o jakąś liściastą ścianę, do schronienia się pod jakieś zaciszne zieleńce, do obrzeżenia płynnych, tęgo wydeptanych ścieżek prześlizgnięciem jedwabistą murawą, do uwieńczenia terenu pracy nagrodą malowniczości. Trudno odgadnąć, ile w tem jest świadomej ludzkiej intencji, a ile błogosławionego działania samej przyrody. Dość, że pole każdej czynności gospodarczej dworu przystraja się w pejzażową nadobność, skomponowaną jakgdyby z przemyślnym zamiarem połączenia użyteczności i wdzięku w nierozdzielną całość. A plenna ziemia, użyźniona wiekowem zasiedzeniem dworu, aż kipi i wzbiera mocą rozrodczą i obok drzew, traw i kwiatów, wystawia po rozlicznych zakątkach i opłotkach całe bataljony wysokiego zielska, zachłannie i pysznie zadomowione, panoszące się z jakąś zwrotnikową zaciekłością. Nie wiem, dlaczegoby dzikie krzewy i zioła nie miały cieszyć oka i pociągać wyobraźni narówni z uprawnemi i nie mogły być wdzięcznym przedmiotem kontemplacji i opisu? Dzwonkowe wisiory chmielu, oplatające dziki śliwniak chwytanemi selektynowemi gronami, nie są przecież mniej piękne od grzecznie przystrzyżonych krzewów na

„Ziemia”



foremnych gazonach, a nienagannie wyczyszczone kwiatowe rabaty nie dorównają może wymową i nastrojem zachwaszczonym gęszczarom, podobnym do tropikalnej dżungli. Ileż wspaniałości mają strzeliste dziewanny, usadzone jak gotycka iglica katedralna złotawymi kwiatonami, albo końskie szczawie, rozpuszczające czerwone kiście nakształt gniewnych indyjskich koralii! Ile świątecznego uroku mają kwitnące marchewniki, gdy na ich wachlarzowatych pałkach ścielą się tumany białej okiści i proszą w sadzie śnieżącym zalewiskiem, z którego, jak z mgły, wynurzają się i wznoszą do góry ramiona jabłoni! Jaką surową mocą tchną kłapouche, napiętrzone patery łopuchów, rozkładające się potężnymi warstwami w wilgotnym cieniu olszniaku, albo wojownicze czworoboki pokrzyw, najeżone chytremi kolcami i sparte do ataku pod zbutwiałym parkanem! A wszystko to w Bohdanowie dochodzi do najwyższego napięcia kształtu, barwy i rozrostu w skwarnem słońcu letniem i nieskończonym szeregiem zielonych zwrotek śpiewa o niespożytych mocach żywej ziemi, tej ruszyczowskiej »Ziemi«, rytej cierpliwym pługiem samotnego oracza pod białosiną glorią gigantycznych obłoków.



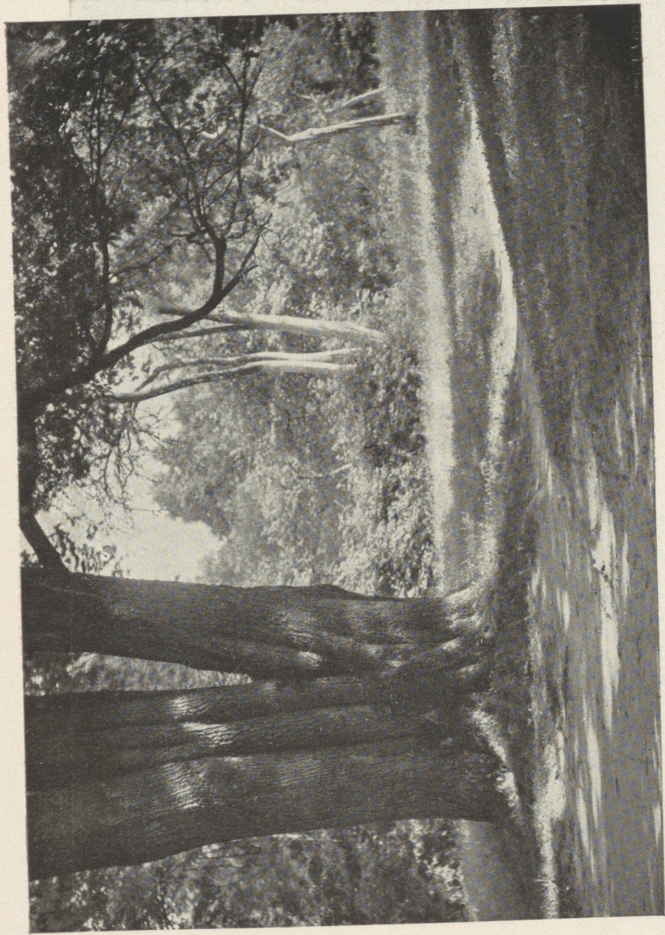
BOHDANÓW

Aleja wjazdowa północna



BOHDANÓW

Sylwetka dworu



Klony przy „domku ogrodowym”

BOHDANÓW



BOHDANÓW

Sad jabłoniowy

Cale to rozrzutne państwo roślinne zamyka od północy ciemna świerkowa ściana, od południa rytmiczny wąż klonowych bukietów, pełzający po garbacie wzgórzu, od zachodu grupy strzępiastych jesionów i innych liściastych weteranów, a wszystko razem zwiera się i zaokrągla w potężną warownię, przytuloną do pochyłego zbocza, kopulasto nakrytą i rysującą się zdala na widnokregu zdecydowanie bryłowatym kształtem przestrzennym.

Taka jest siedziba Ruszcyców, wzniesiona nie tylko z bierwion i cegieł, ale i z żywego budulca pni, konarów i liści.

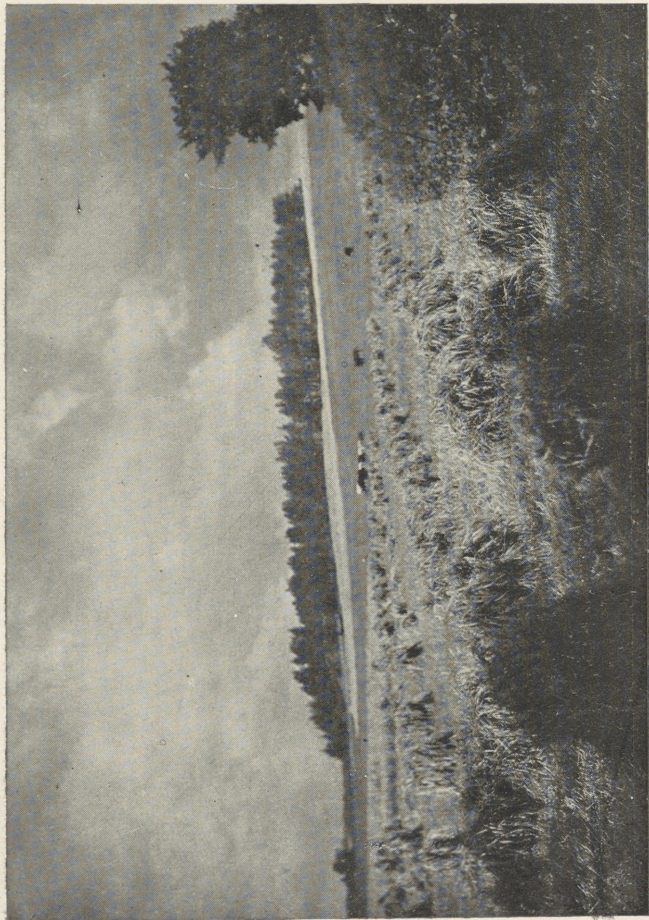
* * *

Wychodzę w pole brzozową aleją, mijam rzecz-
kę Holszan-kę, wieś i kościół parafjalny, otoczony lipowym pierścieniem i wchodzę na wzgórze, skąd okolica rozściela się szeroko i wzorzyście i ujawnia wybitne znamiona pejzażu Ruszcycowskiego. Już nie wiem, w jakim stopniu oddziaływa rzeczywistość, a w jakim interpretacja artystyczna, ale krajobraz ten odsłania mi oblicze poważne, majestatyczne, zarysowane wielkimi, sfalowanymi linjami, na które patrzy się nie z pobieżnym zainteresowaniem turysty,

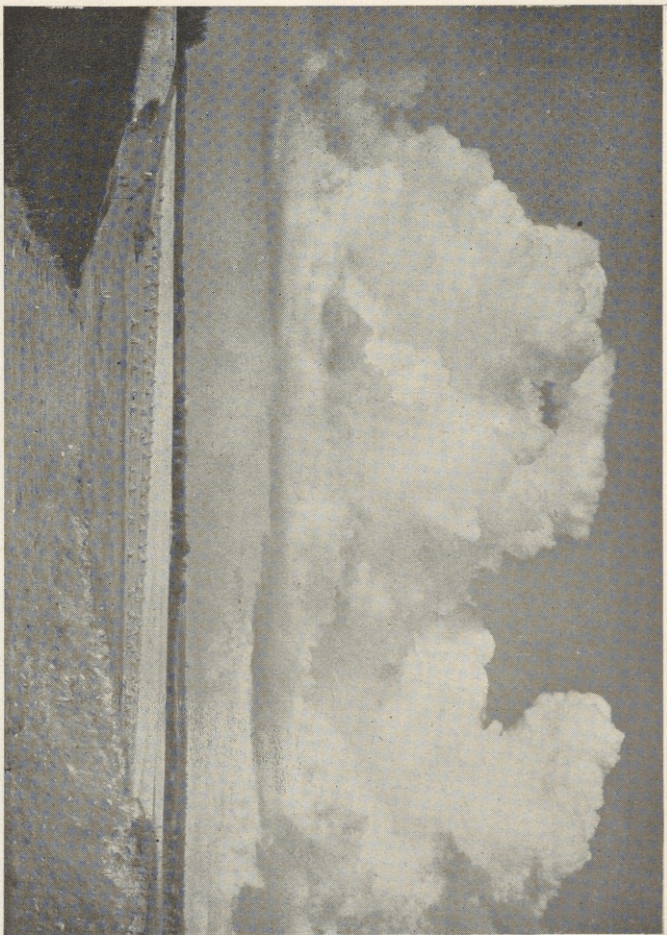
ale z jakąś synowską czcią, w skupieniu nieomal religijnem. Ta ziemia ma własny ton, skupiony i majestatyczny, podobny do głosu Ruszczyca, brzmiącego akcentem stężonej mocy. Ta ziemia przywodzi na myśl organowy hymn kościelny, wibrujący pełnemi, niskimi akordami, i nastraja do głębokich wewnętrznych rozpamiętywań. Ta ziemia oczarowuje, podbija i zniewala. Może to emanacje jej dawnych dziejów unoszą się nad polami i odradzają się razem z plonem każdego żniwa, może to duchy pokoleń, co przeminęły w pracy i miłowaniu, błakają się po tych rozłogach i każą wspominać, szanować i kochać. A może ten czarodziej-artysta tak swem życiem całem przetworzył i wypiękniał bohdanowską ziemię, że już niepodobna widzieć jej inaczej, jak tylko — Jego oczami?

Dzień jest gorący i pogodny, z lekką skłonnością do burzy i z wysokiem nawarstwieniem obłoków, prawdziwy dzień letni i żniwny, kiedy człowiek czuje się wyzwolony z przymusów ciężkiej odzieży i ogrzanego domu i w całej pełni zażywa darów słońca, przestrzeni, wiatru i nieba. Odradza się w nim wówczas bratnia spójnia z życiem, przyrodą i z wielką

4
Ziemie
kochać
niechaj!



BOHDANÓW
Pole za dworem od północo-zachodu
(Na prawym brzegu widnokregu miejsce powstania „Ziemi“)



BOHDANÓW

„А chimney plyná i plyná...”

dałą widnokregu. Od bożych krówek na żytnich źdźbłach do drzewnych konarów na szafirowym nieboskłonie wszystko mu jest pokrewne i bliskie, żyjące jego własnym życiem, odychające jego własnym oddechem. Ciasna przestrzeń domowego obejścia rozszerza mu się w bezgraniczne rozslonecznionej ziemi, cieplej, jasnej i przychylnie gościnnej. Każde stąpięcie utwierdza go w tem zawrotnem poczuciu lekkomyślnej swobody. Idzie przed siebie, jak bajkowy królewicz po zaczarowanym kraju nieskończonych możliwości, i wierzy, że mógłby tak iść bez kresu poprzez pyłne drogi, poprzez żółte niwy, pasiaste pola i szumne gaje, zdobywając kolejno wszystkie horyzonty, nęcące z od dali tajemniczem omgleniem i czyniąc za nimi odkrycia coraz piękniejszych obrazów, coraz szczęśliwszych niespodzianek, coraz dziwniejszych cudów nieba i ziemi!...

A chmury płyną i płyną. Są to wielkie kumulusy o krawędziach plastycznie sklepionych i rozrastających się w ogromne szczyty, śnieżyste i samoświejące. Ciągną aż do zenitu olśniewającymi spiętrzeniami, a gdy taka śnieżna góra wywyższy się na mocnym błękitcie, ten jeszcze ciemnieje, szafirowieje i już nic nie jest

„Chmury w
błękitcie”

w stanie oderwać oczu od wspaniałości wysokiego nieba. Tam chmury skłębiają się w potężne bizantyjskie kopuły, nabrzękle gronami rzeźbionych kulistości, mieszają się w wielokształtne lądy i półwyspy, w koronkowo zębione ornamenty, w strzeliste smugi i pierzaste wiry, spływają się i rozplývają profuzją form i kolorów od oślepiającej bieli do groźnej siności.

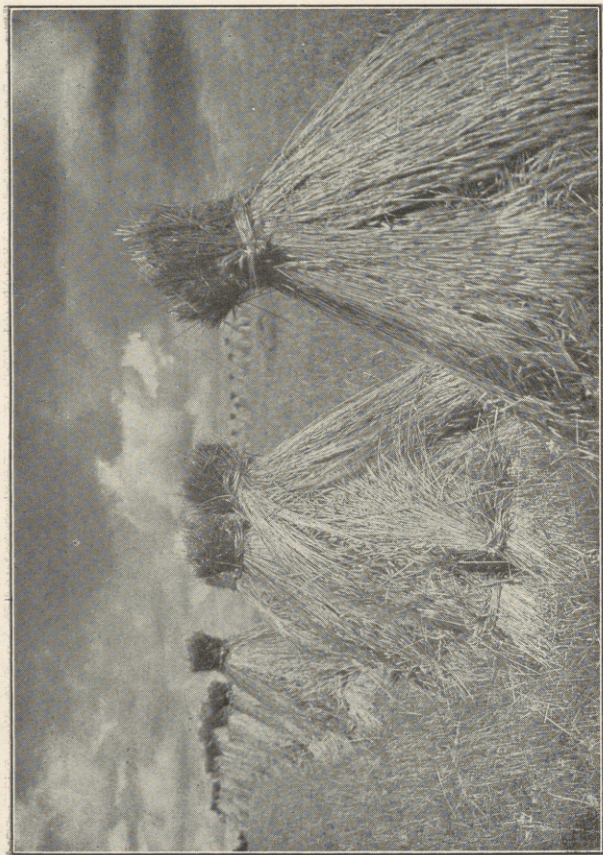
Dojrzewa dramat nieba: szeregi stłoczonych wojsk wyłaniają się z za widnokręgu, rozdłużają się w nieustępliwy szyk bitewny i szturmującą falangą idą na zdobycie zenitu i słońca. A w pewnej chwili krągłość samoświecących skłębień dochodzi do najwyższego napięcia: wyniośle i ciężko zawisa olbrzymia obłoczna zjawia nad ziemią, jakgdyby ją miała przytłoczyć i zgnieść swym niebotycznym przepychem, jakgdyby zaraz — już oto — miało się stać coś przerażająco pięknego, coś straszliwie ostatecznego, zapierającego oddech w piersi grozą i majestatem. Stoją u zenitu białe ogromy w apoteozie własnej piękności i potęgi, a pola, łąki i lasy hold uwielbienia im oddają.

Potem przychodzi przełom. Słońce mierzchnie i bury cień owłada ziemią. Podbrzusza chmur sinieją złowrogo, łączą się w ciemne skupienia

i ławice, kreślą resztki jasnych pagórków poziomemi wężami, gaszą prześwity śniado-płowych obrzeżeń. Jaskrawą błyskawicą rozpęka się przestrzeń, odpowiada jej głuchy pomruk dalekiego grzmotu, gdzieś w niebiosach toczy się walka... Ale tylko przez krótką chwilę. Niebawem chmury rzedną i blednieją; rozwiane wiatrem, dostają błękitnych plam i wylotów, przestają być żywiołem groźnego piękna i powracają do roli ozdobnego niebieskiego sztafażu. Uciekają z pól korowody cieniowych płatów i znowu słońce zabłyśka gorąco i miłościwie nad obszarami bohdanowskiej ziemi.

III.

Wieczorem są dożynki, wielkie doroczne święto całego dworu, obchodzone hucznie, gościnnie i uroczyście. Młodzież zawczasu przygotowała kolorowe lampjony dla oświetlenia dziedzińca i śpichrza, a w kuchni szykują się sterty jada i wszelakiego poczęstunku. Rodzina Ruszcyców świętuje dożynki wspólnie ze służbą, czeładzią i wszystkim, co żyje i pracuje we dworze, jako jedna wielka rodzina pracownicza, ciesząca się razem z zakończenia żytnich zbiorów. Tak to w polskim dworze na Litwie demokracja prawdziwa jest uprawiana czynnie i samorzutnie, a bez rozgłosu i podkreślania. Dożynki zaczynają się od tradycyjnego wianka, witego i niesionego gromadnie do dworu z chóralnym śpiewem na staroświecką ludową nutę:



„Nasz wianek obfity, z Bożego daru uwity”



BOHDANÓW Widok na dom (mur) z głębi ogrodu

U nas siahonnia dażynoczki,
Daść nam Pan hareloczki...

Już zdaleka od żytniska rozlegają się głosy żniej, śpiewających monotonnie i tęskliwie; zbliżają się, rosną i obwieszczają początek wieczornego obrzędu. Posiada on niezmiennie formy obyczajowe. Żnieje stają pod gankiem i śpiewają pieśń żniwną, mając pośrodku przodownicę z wiankiem na głowie, a po odśpiewaniu przodownica zbliża się do gospodarza i składa mu rytualne, również niezmiennie życzenia, prosząc, by przyjął »wieniec obfity, z bożego daru uwity«, poczem gospodarz własnoręcznie zdejmuje ten wieniec z głowy dziewczyny i wywzajemnia się podziękowaniem i datkiem. Wówczas gromada odchodzi, intonując dalej swoją pieśń.

Prosta i uboga nuta żniwnej pieśni białoruskiej jest twarda, odarta z wdzięku uczonej harmonji, ale zato pełna surowej mocy i smętnej rezygnacji. Jest w niej żywiołowe poddanie się ziemi i naturze, jest przeciągła jednostajność, płynąca bezzadośnie, jak szara chłopska dola, jak pochód pracowitych dni i lat wiejskiego bytowania. Ale jakże szeroko i donośnie ona płynie! Jaka w niej brzmi obrzędowa powaga i nieuchronność spraw ziemi i życia, nieledwie reli-

gijna! A po każdej odśpiewanej zwrotce chór podchwytuje i wyciąga ostatnią nutę, rzuca ją z wiatrem w przestrzeń długim, wibrującym pojęciem, który ściele się po rżyskach, jak wieczorne westchnienie ziemi...

Plon niesiem, plon
Ze wszystkich stron...

Dożynki

Dziwna, wzruszająca pieśń. Obcy nie znajdzie w niej może nic, prócz krzykliwej monotonii. Ale gdy się jej słuchało przez całe życie, to się czuje w tym echowym refrenie coś mistycznego, zrodzonego z tajników gleby, jakiś symbol prawniecznego bytu rolnego i polnego. I przez nieuchwytną asocjację staje w oczach Ruszczykowski obraz »Dożynki«, odmienny treścią, ale pokrewny nastrojem pierwotności, budzący echa tej samej pieśni żniwnej. Błąkają się one na schyłku letniej nocy pod namiotami widmowych drzew na wzgórzu, gdzie uczujące pary rozsypały się wśród fosforycznych świateł i zastrygły w jakimś obrzędowym urzeczeniu, a świątujące nad drzewami niebo patrzy na gody człowieka i ziemi.

Wieczorem jadalnia i kuchnia z przyległościami gromadzą około stu osób, w czym prawie

połowę dzieci i młodzieży, i wszystko to mieści się pod dachem gościnnego domostwa. Oto już skończyła się kolacja z licznymi toastami, życzeniami i śpiewami, z nieodłącznym podrzucaniem w górę gospodarzy i rozbawiony tłum ciągnie ku śpichrzowi, przeistoczonemu w salę taneczną. Mieszają się z sobą dorośli i dzieci, panowie i służba, domownicy i sąsiedzi, wszystko postrojone, wesołe i gwarne. Drogę do śpichrza oświetlają mgławo kolorowe latarki, ustawione w trawie i migocące stamtąd, jak wielkie różowe i zielone świetliki. Ozdobnie umajony »świron« rozbłyska różnobarwną iluminacją, tętni ochoczą, piskliwą muzyczką wioskową i ledwie zmieścić może tańczących i widzów. Na ławie u wejścia zasiadł Ruszczyk i przygląda się skocznej polce, którą wywija jego najstarszy, Edzio, z jakąś zamaszystą dziewczuchą. Robi się tłoczno, duszno i wesoło. Przez otwarte wierzeje patrzy nocne niebo z czarnymi zarysami drzew i barwnie świecą jasne sukienki w pelganiu dogasających lampjonów. Dziedziniec przeistacza się w teatralną scenę, której ludzie użyczyli światła, a noc — drapeiry i kulis. Światła są nikłe, ale dekoracje — bogate i fantastyczne. W głębi wywyższa się

ciemna masa domu i rozbłyska jarzącymi oknami wnętrza, jak olbrzymia latarnia. Zewsząd dźwięczą niewidzialne głosy, donoszą się echa grające i śpiewające w mroku.

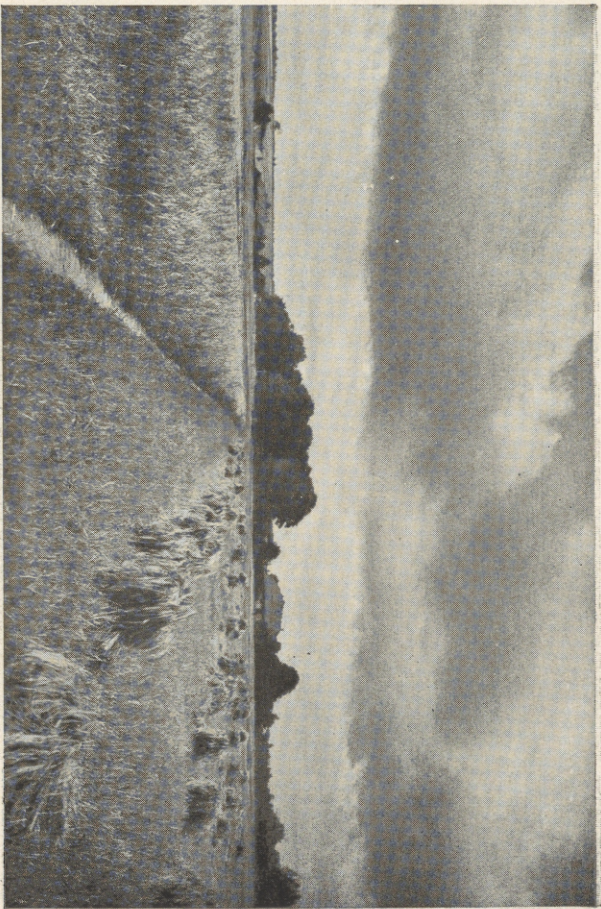
Po kłosku zbierali,
Do wianka zwiwali.
Nasz wianek obfity,
Z Bożego daru uwity...

Pieśń brzmi gdzieś zdala wspomnieniem popołudniowego wianka, który Ruszczyc zdjął z głowy żniei-przodownicy, a ze śpichrza odpowiada mu niemilknący rytm tanecznej muzyki, żałośnie zawodzą skrzypce, zanosi się harmonja rozlewnem, chrapliwem rechotaniem. Ścieżka, usiana świetlikami, łączy te dwa ogniska blasku i zgiełku, snują się po niej przyćmione grupy i postacie, to wynurzają się, to znów zapadają w nocny cień, jak senne zjawiska. Zaczyna się dzieć coś niezwykłego w tym nocnym teatrze bohdanowskim. Przeróżne momenty tego rozbawionego gwaru, tych nagłych rozświetlań i zniknięć, tych grających odgłosów, wtulone w ciepły mrok letni pod baldachimami drzewnych konarów, nabierają wyrazu obrzędowej tajemniczości, stają się samodzielnymi zjawami jakiegoś zaczarowanego świata. Rze-



BOHDANÓW

Droga z domu do śpichrza



BOHDANÓW

Ścieżka do plebanji

czywistość ustępuje miejsca fantastycznej baśni nocnej, w której się przewija to scenerja Ruszcycowskiego obrazu dożynkowego, to zakłętę kołowanie podkrakowskiego »Wesela«; prawda i ułuda tworzą jedną widzialność i jedną atmosferę, w którą wyobraźnia zatapia się z chętną bezwolą, by chłonąć dziwny czar tej sierpniowej nocy, wyiskrzonych ogniami i gwiazdami, rozśpiewanej muzyką i świerszczów nieustannym skrzekotem...

* * *

Nazajutrz, przed odjazdem, idę na plebanję do proboszcza, a towarzyszy mi Ferdynand wraz z panią Giną i trojgiem starszych dzieci. Zdrowie Ferdynanda poprawiło się tak znacznie, że odbywa on bez większego zmęczenia dłuższe piesze wędrówki. Rzecz oczywista, że w Bohdanowie i kościół harmonizuje z całością i odznacza się malowniczą powagą. Lipy otaczają jego drewniane ściany i dosłownie otulają go swym zwieńczonym kręgiem, tworząc znowu architekturę, wzniesioną z żywego zielonego tworzywa. Cienisty, schludny kościółek jest przedmiotem troskliwej opieki obojga Ruszcycostwa. Pełny jaskółczego świergotu i lipowego szumu, ukry-

ukryty
muś
świergot

wa się całkowicie za drzewami i wygląda na-
zewnątrz tylko foremną wejściową dzwonnica.

Gdy powracamy od proboszcza, robi się wie-
czór i cienie lip ścielą się po ugorze długie-
mi błękitnawymi smugami. Po obłoczystym
i wietrznym dniu nastaje pogodne ucieszenie
i zachodzące słońce opromienia świat najpięk-
niejszym uśmiechem. Lekkie perłowe chmurki
spływają ku widnokręgowi i tam rozpalają się
złotymi obrzeżeniami. Różowy przestwór pól
oddycha łaskawą ciszą, spogląda słodkimi wej-
rzeniem kochanego oblicza.

Za chwilę mam odjechać. Idąc przodem, oglą-
dam się na Ruszczyca, który przystanął dla
odpoczynku. Prowadzą go pod rękę syn i cór-
ka, pani Gina za nimi zamyka pochód. Ostat-
nie promienie słońca podkreślają orli profil
i srebrną głowę Ruszczyca, przeświełają jasne
postacie dwojga młodych. Te trzy złączone syl-
wety rysują się przedziwnie wzruszającym kon-
turem na tle wieczornej zorzy, jakgdyby wzięły
od niej całą jej łagodną promienistość. Idą
znów po grudach ścieżki, stąpają ostrożnie, by
się nie potknęły na nich ojcowskie nogi, a wy-
dłużone cienie tych trojga stapiają się w kształt
trójjedyny — w symbol ich mocnej rodzinnej

spójni. Idą, zbliżają się już ku domowi, wchodzą w brzozowe przysady. Ruszczyc pogodnem, dobrotliwem spojrzeniem ogarnia swoją rodzinę, swój Bohdanów, cały świat różowej ciszy i serdecznego piękna. W tym powolnym, uroczystym pochodzie dwóch pokoleń, rozświetlonych pożegnalną luną zachodu, jest coś z obrzędowego piękna dożynek, piastujących zbożny plon bohdanowskiej ziemi — wianek ciężkich, dojrzałych kłosów, pełnych złotego, żywiącego ziarna...

* * *

Idź długo jeszcze tą słoneczną ścieżką, Wielki Zniwiarzu polskich kłosów i kwiatów, pracowniku boży, »trudzący się w sadzie, by drzewa zakwitły i owoc wydały, trudzący się w pasiece, by był воск i miód«. Idź wsparty o młodość i nadzieję, dźwigający bogaty plon Twego pięknego życia, — wieniec »obfity, z bożego daru uwity«!...

Bohdanów, w sierpniu 1934 roku.

ŚCIEŻKA DO PLEBANJI

Wiatrami gnany, wiatrom podany,
szarych pielgrzymów rząd w ziemię wróś;
—idzie od dworu przez żytnie łąny
rozwiany szereg sędziwych brzoź.

Wieczne pielgrzyny, drzewa-olbrzymy
przed białą bramą trzymają straż,
szumią dworowi: „my cię bronimy,
ostań w pokoju, rodzicu nasz”.

A między żyta, wstęgą rozwita,
zapada ścieżka wśród kłosnych drzeń
i w pozłocistej dali wykwita
kościół, wtulony w lipowy cień.

Z wiatru podmucha zbożnym łańcuchem
wiąże ta ścieżka kościół i dwór,
a wszystko wieńczy modrym bezruchem
wysokie niebo i gloria chmur.

Zaplata niwa złote ogniwa
pomiędzy niemi na wieczny ślub,
i falowaniem płowem w dal spływa
lipom—krzyżowi—Bogu do stóp...

— — — — —
O, stary dworze! Ognia, krwi morze
przeszło nad tobą, a ty wciąż trwasz
i, jako dawniej, w brzoź rozhovorze
stoi aleja i trzyma straż.

Znów się kołysze twoje zacisze
szumem konarów u białych wrót,
a w ich rozwiewie, jak dawniej, słyszę
twego wytrwania miłośny trud.

Hartowny bólem, znów pszczelnym ulem
złocisz w swem wnętrzu piastowy miód;
w koronie kłosów siermiężnym królem
wskrzeszasz majestat ojcowych cnót.

O, polski dworze! Gdy ziemia gorze,
gdy zmieść cię pragnie i swój i wróg,
ty trwasz w wierności świętym oporze
przy ścieżce z śladem pielgrzymich nóg.

Biblioteka Główna UMK

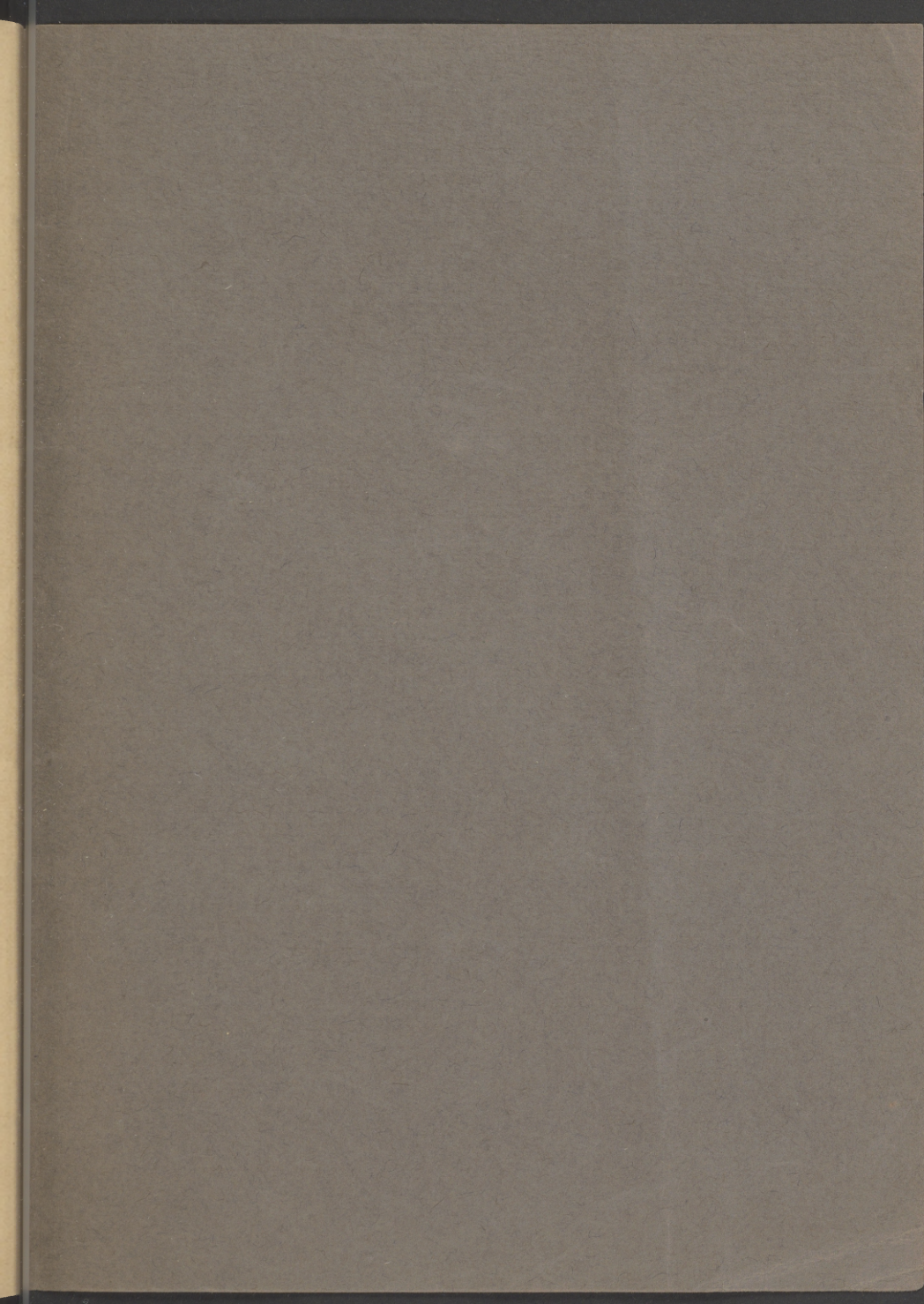


300043702099

Bohdanów 1925.



u.4233.



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

4233/7

Biblioteka Główna UMK



300043702099



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

4233/7

Biblioteka Główna UMK



300043702099

